

STEPHEN KING

ROSE MADDER



ALBATROS

Tytuł oryginału:
ROSE MADDER

Copyright © Stephen King 1995
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zbigniew A. Królicki 1996

Redakcja: Barbara Nowak

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: Peyker/Shutterstock (*rama obrazu*);
donatas 1205/Shutterstock (*tabliczka*); Raland/Shutterstock (*dłonie*);
Macronatura.es/Shutterstock (*świerszcz po lewej*);
Alexander Sviridov/Shutterstock (*świerszcz po prawej*); asharkyu/Shutterstock (*bluszcz*)

ISBN 978-83-6742-699-2

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...
...

PROLOG

Złowieszcze pocałunki

Siedzi w kącie, usiłując nabrać powietrza, którego w tym pokoju zaledwie kilka minut temu wydawało się mnóstwo, a teraz widocznie nie ma wcale. Jak gdyby z daleka słyszy słabe chrr-chrr i wie, że to powietrze wpadające do jej gardła, a potem wydostające się z powrotem licznymi gwałtownymi sapnięciami, a jednak wciąż się jej wydaje, że tonie tutaj, w rogu swojej bawialni, spoglądając na poszarpane resztki powieści w miękkich okładkach, książki, którą czytała, kiedy mąż wrócił do domu.

Niewiele ją to obchodzi. Ból jest zbyt silny, by martwić się o taki drobiazg, jak oddychanie, zastanawiać się nad tym, dlaczego powietrze, które wciąga do płuc, zdaje się pozbawione tlenu. Ból połknął ją, podobnie jak ów biblijny wieloryb pochłonął Jonasza, tego świątobliwego męża uchylającego się od poboru. Pulsuje jak zdradzieckie słońce, płonące głęboko w jej ciele, w miejscu, gdzie do dziś wieczór było tylko spokojne uczucie rosnącego życia.

Jeszcze nigdy nie zaznała takiego bólu, a przynajmniej nie pamiętała nic podobnego. Kiedy miała trzynaście lat, skręciła rowerem omijając dziurę i wywalila się, uderzając głową o asfalt, tak że rana wymagała dokładnie jedenastu szwów. Zapamiętała tylko srebrzysty rozbłysk bólu, a po nim rozgwieżdżony mrok zdziwienia, które w rzeczywistości było krótkim omdleniem... lecz tamtego bólu nie dało się porównać z tą męczarnią. Z tą straszliwą udręką. Jej ręka na brzuchu czuje ciało, które teraz wcale nie przypomina ciała; jakby rozpięto zamek błyskawiczny i żywe dziecko zastąpiono gorącym kamieniem.

Och, Boże, proszę – myśli. – Proszę, niech dziecku nic nie będzie.

Kiedy jej oddech w końcu uspokaja się trochę, pojmując, że dziecku coś jest, że on jednak postarał się o to. W czwartym miesiącu ciąży dziecko wciąż jest bardziej częścią matki niż sobą, a gdy się siedzi w kącie, z kosmykami włosów przylepionymi do wilgotnych policzków, z uczuciem, jakby się połknęło gorący kamień...

Coś składa złowieszcze, śliskie pocałunki na wewnętrznych stronach jej ud.

– Nie – szepcze – nie. Och, dobry słodki Boże, nie. Dobry Boże, słodki Boże, mój Boże, nie.

Niech to będzie pot – błaga w myślach. – Niech to będzie pot... a może zmoczyłam się. Tak, to pewnie to. Bolało tak bardzo, kiedy uderzył mnie trzeci raz, że zmoczyłam się i nawet tego nie czułam. Na pewno.

Tyle że to nie pot ani mocz. To krew. Siedzi tam w kącie bawialni, patrząc na porwaną książkę, której część leży na sofie, a część pod ławą, i czuje, że jej macica jest gotowa oddać dziecko, które do tej pory nosiła bez sprzeciwu i bez żadnych problemów. – Nie – jęczy – nie. Boże, proszę, powiedz nie.

Widzi cień męża, wykrzywiony i wydłużony jak strach na wróble albo cień wisielca, tańczący i podskakujący na ścianie korytarza wiodącego z bawialni do kuchni. Widzi cień telefonu, przyciśnięty do cienia ucha, i długi korkociąg przewodu. Widzi nawet cienie palców prostujących zwoje kabla, przytrzymujących go przez chwilę, a potem puszczających, żeby wrócił do poprzedniego kształtu – jak paskudny nawyk, którego nie można się pozbyć.

W pierwszej chwili pomyślała, że telefonuje na policję. Zabawne oczywiście, przecież policja to on.

– Tak, to nagły wypadek – słyszy. – Masz cholerną rację, ślicznotko, ona jest w ciąży.

Milczy, przesuwając przewód między palcami, a kiedy ponownie się odzywa, w jego głosie słychać irytację. To lekkie rozdrażnienie wystarcza, aby znów poczuła przerażenie i metaliczny smak w ustach. Kto naraziłby się mu, któż by się sprzeciwił? Och, kto byłby tak głupi, żeby to zrobić? Oczywiście tylko ktoś, kto by go nie znał, ktoś, kto nie znałby go tak jak ona.

– Oczywiście, że nie będę jej ruszał, masz mnie za idiotę?

Jej palce pełzną pod sukienkę i w górę uda, do nasiąkniętej, gorącej bawełny majteczek. Proszę – błaga. Ile razy powtórzyła w myślach to słowo, od kiedy wyrwał jej książkę z rąk?

Nie wie, lecz słowo powraca znowu: Proszę, niech ten płyn na moich palcach będzie przezroczysty. Proszę, Boże. Niech będzie przezroczysty.

Kiedy jednak wyjmuje rękę spod sukienki, czubki jej palców są czerwone od krwi. Przygląda się im i potworny skurcz przechodzi przez jej ciało, szarpiąc niczym ostrze piły. Musi zacisnąć zęby, żeby zdusić krzyk. Wie, że w tym domu lepiej nie krzyczeć.

– Dajcie spokój z tymi pierdołami, po prostu przyjeżdżajcie! I to szybko!

Z trzaskiem rzuca słuchawkę na widelki.

Jego cień pęcznieje i podskakuje na ścianie, a potem on pojawia się w przejściu, kierując ku niej swoją czerwoną i przystojną twarz. Oczy w tej twarzy są pozbawione wyrazu, jak odłamki szkła migoczące przy wiejskiej drodze.

– Tylko spójrz na to – mówi, rozkładając na moment ręce, a potem pozwalając im opaść z cichym kłasnieniem. – Spójrz na ten bałagan.

Ona wyciąga do niego swoją rękę, pokazując mu zakrwawione czubki palców – jedyne oskarżenie, na jakie może się zdobyć.

– Wiem – oznajmia, jakby to, że wie, wszystko wyjaśniało, stawiało całą sprawę w koherentnym, racjonalnym kontekście. Odwraca się i patrzy nieruchomym spojrzeniem na podartą książkę. Podnosi część leżącą na kanapie, potem schyla się po tę pod ławą. Kiedy wyprostowuje się, ona widzi okładkę przedstawiającą kobietę w białej wieśniaczej koszuli, stojącą na dziobie statku. Jej włosy dramatycznie powiewają na wietrze, odsłaniając kremowe ramiona. Tytuł – *Podróż Misery* – został podkreślony przez jasnoczerwone tło.

– Na tym polega problem – oświadcza on i potrząsa resztkami książki, jak człowiek grożący zrolowaną gazetą szczeniakowi, który nasusiał na podłogę. – Ile razy ci mówiłem, co myślę o takich duperelach?

Odpowiedź brzmi nigdy. Ona wie, że siedziałaby w tym kącie roniąc, gdyby nawet po powrocie do domu zastał ją oglądającą wiadomości telewizyjne, przyszywającą guzik do jednej z jego koszul albo drzemającą na kanapie. Po prostu kiepsko mu szło, niejaka

Wendy Yarrow sprawiała mu kłopoty, a jedyne lekarstwo Normana na kłopoty, to podzielić się nimi. „Ile razy ci mówiłem, co myślę o takich duperelach? – wrzasnąłby, bez względu na to, co uznałby za te duperle. A potem, zanim puściłby w ruch pięści: – Chcę z tobą porozmawiać, kochanie. W cztery oczy”.

– Nie rozumiesz? – szepcze do niego. – Tracę dziecko!

Niewiarygodne, ale on się uśmiecha.

– Możesz mieć inne – mówi. Jakby pocieszał malca, który upuścił wafelek z lodami. Potem wynosi podartą książkę do kuchni, gdzie na pewno rzuci ją do śmieci.

Ty draniu – myśli ona, nawet nie wiedząc, że tak myśli. Znowu czuje skurcz, tym razem chwyta ją wiele skurczów atakujących jak rój straszliwych owadów, więc odchyła głowę, wciskając ją w kąt, i jęczy. – Ty draniu, jak ja cię nienawidzę.

Wraca korytarzem i podchodzi do niej. Ona przebiera nogami, usiłując wcisnąć się w ścianę, patrząc na niego oszalałym wzrokiem. Przez chwilę jest pewna, że tym razem zamierza ją zabić, nie tylko zranić czy pozbawić dziecka, którego pragnęła od tak dawna, ale naprawdę zabić. Jest w nim coś nieludzkiego, gdy tak idzie ku niej z opuszczoną głową, rękami zwisającymi po bokach, prężąc mięśnie długich nóg. Zanim dzieciaki zaczęły nazywać takich jak jej mąż glinami, używały innego słowa i to słowo przychodzi jej na myśl teraz, gdy on kroczy przez pokój, ze spuszczoną głową i dłońmi kołyszącymi się na końcach ramion przypominających mięsiste wahadła, ponieważ właśnie tak wygląda: jak rozjuszony byk.

Ona jęczy, potrząsając głową, i przebiera nogami. Jeden bucik spada i leży na boku. Powraca ból; skurcze wbijają się w brzuch jak kotwice z zardzewiałymi zębami, czuje, że wypływa z niej więcej krwi, ale nie może przestać ruszać nogami. W takich chwilach jak ta nie widzi w nim nic, zupełnie nic; rodzaj straszliwej nieobecności.

Staje nad nią, ze znużeniem potrząsając głową. Potem kuca i obejmuje ją ramionami.

– Nic ci nie zrobię – mówi klękając, żeby ją podnieść – więc nie zachowuj się jak gęś.

– Krwawię – szepcze do niego, pamiętając, że powiedział przez telefon, że nie będzie jej ruszał. Oczywiście, że nie będzie.

– Tak, wiem – odpowiada bez zainteresowania. Obrzuca

spojrzeniem pokój, zastanawiając się, gdzie wydarzył się wypadek; ona dobrze wie, o czym on myśli, jakby siedziała w jego głowie. – Wszystko w porządku, powstrzymają krwotok. Powstrzymają.

A czy zdołają powstrzymać poronienie? – krzyczy w duchu, nie zdając sobie sprawy z tego, że on także może czytać w jej myślach, i nie dostrzegając jego czujnego spojrzenia. I jeszcze raz nie pozwala sobie usłyszeć tego, co podpowiada umysł: nienawidzę cię. Nienawidzę.

On przenosi ją przez pokój, do schodów. Klęka i układa u ich podnóża.

– Wygodnie? – pyta troskliwie.

Ona zamyka oczy. Nie może już na niego patrzeć, nie teraz. Czuje, że oszalałaby, gdyby to zrobiła.

– Dobrze – mówi on, jakby mu odpowiedziała, i kiedy ona otwiera oczy, widzi ten wyraz, jaki czasem pojawia się na jego twarzy, tę nieobecność. Jakby jego umysł uleciał, pozostawiając ciało.

Gdybym miała nóż, mogłabym go dźgnąć – przychodzi jej do głowy... lecz stara się nie dopuszczać do siebie tego pomysłu, a już tym bardziej go nie rozważać. To tylko odległe echo, może odbicie szaleństwa jej męża, ciche jak szmer skrzydeł nietoperzy w jaskini.

Jego twarz ożywia się i męczyzna wstaje, z cichym trzaskiem stawów kolanowych. Ogląda swoją koszulę, upewniając się, że nie ma na niej śladów krwi. Wszystko w porządku. Patrzy w kąt, gdzie ona upadła. Tam jest krew, kilka niewielkich kropli i plamek. Teraz wypływa z niej szybciej i obficie; ona czuje, jak krew oblewa ją niezdrowym, dziwnie chciwym ciepłem. Pędzi, jakby przez cały czas chciała wymyć coś obcego z maleńkiego mieszkanka. Jak gdyby... och, co za okropna myśl... sama jej krew stanęła po stronie męża w tym... jakkolwiek określić to szaleństwo.

On znów idzie do kuchni i pozostaje tam przez blisko pięć minut. Ona słyszy jego krzątanie, gdy następuje właściwe poronienie, kiedy ból osiąga szczyt, a potem ustępuje z pluskiem, który daje się zarówno wyczuć, jak i usłyszeć. Nagle ma wrażenie, że siedzi w wannie pełnej cieplej, gęstej cieczy. Jak w krwawym sosie.

Jego wydłużony cień podskakuje w przejściu, słysząc dźwięk otwieranej i zamykanej lodówki, a potem otwieranej i zamykanej szafki (po cichym skrzypnięciu ona poznaje, że to ta pod zlewozmywakiem). Puszcza wodę do zlewu, a potem – niewiarygodne – zaczyna sobie

podśpiewywać, chyba *When a Man Loves a Woman*, kiedy wypada z niej dziecko.

Gdy znów wyłania się z korytarza, ma w jednej ręce kanapkę – oczywiście, jeszcze nie jadł kolacji i na pewno jest głodny – a w drugiej mokrą szmatę z wiadra pod zlewem. Kuca w kącie, w którym upadła po tym, jak wyrwał jej książkę z rąk i zadał trzy mocne ciosy w brzuch – bach, bach, bach, żegnaj, przybyszu – i zaczyna wycierać szmatą czerwone rozbryzgi oraz krople; większość krwi i wszystkiego będzie tutaj, u stóp schodów, dokładnie tam, gdzie on chce.

Wycierając, je kanapkę. Mięso między kromkami chleba pachnie jak ta resztką pieczonej wieprzowiny, którą miała zamiar mieszać z makaronem na sobotni wieczór, by sporządzić lekki posiłek, coś, co mogliby zjeść, siedząc przed telewizorem i oglądając wiadomości.

On spogląda na szmatę, teraz lekko różowawą, potem patrzy w kąt pokoju i znów na szmatę. Kiwa głową, odgryza wielki kęs kanapki i wstaje. Zanim ponownie wróci z kuchni, słychać w oddali narastające wycie syreny. Zapewne karetka, którą wezwał.

Idzie przez pokój, klęka przy niej i bierze ją za ręce. Marszczy brwi czując, jakie są zimne, i zaczyna delikatnie rozcierać je, mówiąc do niej:

– Przepraszam. Po prostu... dzieją się różne... ta suka z motelu...

Urywa, na chwilę odwraca wzrok, a potem znów patrzy na nią. Ma na ustach ten dziwny, pogardliwy uśmiech. Spójrzcie, komu ja usiłuję to tłumaczyć – zdaje się mówić ten uśmiech. Tak już źle ze mną.

– Dziecko – szepcze ona. – Dziecko.

Ścisła jej dłonie, ścisła dostatecznie mocno, żeby zabolą.

– Daj spokój z dzieckiem, słuchaj, co mówię. Będą tu za minutę czy dwie.

Tak, ambulans jest już bardzo blisko, wyje w ciemności jak potworny pies.

– Schodziłaś po schodach i poślizgnęłaś się. Spadłaś. Rozumiesz?

Patrzy na niego, nie wypowiadając słowa. Ból w jej wnętrzu trochę ustępuje, więc kiedy tym razem on ścisła jej dłonie – mocniej niż kiedykolwiek – ona naprawdę czuje to i jęczy.

– Rozumiesz?

Patrzy w jego zapadnięte, nieobecne oczy i kiwa głową. Wokół niej unosi się zapach słonejszej wody i miedzi. To już nie jest krwawy sos,

teraz wydaje jej się, że siedzi w kałuży odczynników.

– Dobrze – oznajmia jej. – Czy wiesz, co się stanie, jeśli powiesz coś innego?

Ona znowu kiwa głową.

– Odpowiadaj. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli odpowiesz. Bezpiecznie.

– Zabiłbyś mnie – szepcze.

Wygląda na zadowolonego. Wygląda jak nauczyciel, który uzyskał odpowiedź na trudne pytanie od ociężałego ucznia.

– Zgadza się. I zrobiłbym to powoli, tak wolno, że wszystko, co zdarzyło się dzisiaj, byłoby przy tym jak skaleczenie palca.

Na zewnątrz, na podjeździe, pulsują czerwone światła.

On przeżuwa ostatni kęs kanapki i zaczyna wstawać. Podejdzie do drzwi, żeby ich wpuścić, zatroskany mąż, którego ciężarna żona miała nieszczęśliwy wypadek. Zanim zdąży się odwrócić, ona łapie go za mankiet koszuli. Spogląda na nią.

– Dlaczego? – szepcze ona. – Dlaczego dziecko, Normanie?

Przez chwilę na jego twarzy pojawia się taki wyraz, jakiego ona nie potrafi nazwać – jakby strach. Tylko dlaczego miałby obawiać się jej? Albo dziecka?

– To był wypadek – odzywa się. – To wszystko. Zwyczajny wypadek. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. I lepiej, żeby tak pozostało, kiedy będziesz z nimi rozmawiała. Inaczej niech Bóg ma cię w swej opiece.

Niech Bóg ma mnie w opiece – myśli ona.

Na zewnątrz trzask drzwi; tupot nóg biegnących do domu, potem zgrzytliwy metaliczny trzask i grzechot noszy, na których zostanie przetransportowana do pojazdu z syreną. On znowu odwraca się do niej, z głową pochyloną jak u byka i nieprzeniknionymi oczami.

– Będiesz miała inne dziecko i to się nie zdarzy. Z następnym dzieckiem wszystko będzie dobrze. Dziewczynka. A może ładny chłopczyk. Płeć nie ma znaczenia, no nie? Jeśli będzie chłopczyk, kupimy mu strój baseballisty. Jeśli dziewczynka...

Robi nieokreślony gest ręką.

– Kapelusik albo coś. Zaczekaj, a zobaczysz. Tak będzie.

Potem uśmiecha się, a na ten widok ona ma ochotę wrzeszczeć. Wydaje jej się, że patrzy na trupa uśmiechającego się w trumnie.

– Jeśli mnie posłuchasz, wszystko będzie dobrze. Masz to jak w banku, kochanie.

Później otwiera drzwi obsługi karetki i mówi, żeby się pośpieszyli, że straciła wiele krwi. Ona zamyka oczy, kiedy do niej podchodzą, nie chce, by w nie spojrzeli; ich głosy dochodzą do niej z daleka.

Nie martw się, Rose, nie przejmuj się, to nic groźnego, to tylko dziecko, możesz mieć inne.

Wbijają jej igłę w ramię, a potem podnoszą. Nie otwiera oczu, myśli: No, dobrze. Tak. Pewnie mogą znów mieć dziecko. Mieć i zabrać je gdzieś, gdzie on go nie dosięgnie. Gdzie nie dosięgnie go ten morderca.

A jednak, wraz z upływem czasu, myśl o opuszczeniu go, myśl jeszcze nie całkiem sformułowana, umyka tak, jak we śnie umyka świadomość racjonalnego, rzeczywistego świata; stopniowo nie ma już dla niej jawy, jest jedynie świat snu, w którym on żyje; snu takiego, jakie miała będąc dziewczyną, kiedy biegła i biegła przez ciemny las albo mroczny labirynt, słysząc za plecami tętent kopyt jakiegoś wielkiego zwierzęcia, przerażającego oszalałego stworzenia, przybliżającego się coraz bardziej, by w końcu ją dopaść, bez względu na to, ile razy skręci, umknie, uskoczy czy zawróci.

Człowiek na jawie rozróżnia pojęcie snu, lecz dla śniącego nie ma jawy, nie ma realnego świata ani zdrowych zmysłów, jest tylko głębokie szaleństwo sennych majaków. Rose McClendon Daniels spała pogrążona w szaleństwie męża jeszcze przez dziewięć lat.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jedna kropla krwi

1

To było jak piekło... jak czternaście lat piekła, ale ona ledwie zdawała sobie z tego sprawę. Przez większość czasu pozostawała w oszołomieniu tak głębokim, że przypominało śmierć. Niejeden raz miała wrażenie, że to złudzenie, że w końcu się przebudzi, ziewając i przeciągając się wdzięcznie niczym bohaterka kreskówki Walta Disneya. Ta myśl nawiedzała ją najczęściej wtedy, kiedy pobił ją tak bardzo, że musiała na jakiś czas położyć się, aby wydobrzeć. To zdarzało się trzy, może cztery razy w roku. W 1985 – w roku Wendy Yarrow, w roku oficjalnej nagany, w roku „poronienia” – zrobił to prawie dwanaście razy. We wrześniu tego roku odbyła swoją drugą i ostatnią podróż do szpitala na skutek starań Normana... Przynajmniej ostatnią do tej pory. Pluła krwią. Przez trzy dni zwlekał z oddaniem jej pod opiekę lekarską, mając nadzieję, że wszystko samo przejdzie. Kiedy jednak jej stan zaczął się pogarszać, pouczył ją, co ma mówić (zawsze tak postępował) i zabrał do szpitala St. Mary. Zawiózł ją tam, ponieważ po „poronieniu” pogotowie odwiozło ją do City General. Okazało się, że miała złamane żebro, które mogło przebić płuco. Po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy opowiadała bajeczkę o upadku ze schodów i tym razem chyba nie uwierzył w nią nawet praktykant obserwujący badanie i zabiegi, lecz nikt nie zadawał żadnych kłopotliwych pytań; po prostu zatamowali krwawienie i odesłali ją do domu. Ale Norman zrozumiał, że miał szczęście, i zaczął bardziej uważać.

Czasem, kiedy nocą leżała w łóżku, obrazy roily się w jej wyobraźni niczym przedziwne komety. Najczęściej widziała mężowską pięść, z

krwią plamiącą knykie i rozmazaną po jego złotym sygnecie Akademii Policyjnej. Bywało, że dostrzegała słowa na tym pierścieniu – Służba, Wierność, Społeczeństwo – odbite na jej brzuchu lub odcisnięte na jednej z piersi. To często przywodziło jej na myśl niebieskie pieczęcie weterynarzy, takie jakie widzi się na kawałkach mięsa pieczeniowego lub na surowych stekach.

Te wizje nachodziły ją zawsze w chwili, gdy była gotowa zapaść w sen, odprężona i rozluźniona. Wówczas widziała nadlatującą ku niej pięść i gwałtownie się budziła, by leżeć drżąc u jego boku, mając nadzieję, że on się nie odwróci, aby przez sen wymierzyć jej cios w brzuch lub w udo za to, że mu przeszkadza.

Wpadła w to piekło mając osiemnaście lat i obudziła się ze snu miesiąc po swoich trzydziestych drugich urodzinach, niemal pół życia później. Przebudziła ją jedna kropla krwi, nie większa niż dziesięciocentówka.

2

Zobaczyła ją, ścieląc łóżko, na poszwie po jej stronie, blisko miejsca, gdzie leżała poduszka, kiedy łóżko było posłane. Prawda, że mogła przesunąć poduszkę nieco w lewo i zakryć plamkę, zaschniętą i brudnokasztanową. To byłoby najłatwiejsze i miała ochotę tak właśnie zrobić, szczególnie dlatego, że nie mogła zmienić tylko poszwy; nie miała już czystej białej pościeli, a gdyby położyła jedną z kwiciastych poszewek zamiast tej białej z plamką krwi, musiałaby zmienić również prześcieradło. W przeciwnym razie byłby niezadowolony.

Spójrz na to – już słyszała. – Ta cholerna pościel jest nie dobrana, prześcieradło dałaś białe, a poszwę w kwiaty. Jezu, dlaczego ty jesteś taka leniwa? Chodź tutaj, musimy porozmawiać w cztery oczy.

Stała po swojej stronie łóżka, w smudze wiosennego słonecznego blasku, leniwa flądra, która całymi dniami sprzątała ten mały domek (mogła oberwać nawet za jeden ślad palca pozostawiony na lustrze w łazience), i obsesyjnie zastanawiała się, co zrobić mu na obiad; stała tam, patrząc na maleńką plamkę krwi na pościeli, z twarzą tak nieruchomą i pozbawioną wyrazu, że ktoś, kto obserwowałby ją w tym momencie, mógłby sądzić, że jest niedorozwinięta umysłowo.

Myślałam, że ten mój przeklęty nos przestał krwawić – mówiła do siebie. Byłam pewna, że przestał.

Nieczęsto bił ją po twarzy; był na to zbyt sprytny. Bicie po twarzy było dla pijanych dupków, których aresztował setkami, pracując jako umundurowany policjant, a potem jako detektyw. Bije się kogoś – na przykład żonę – po twarzy zbyt często i po jakimś czasie bajeczki o spadaniu ze schodów, wpadnięciu w nocy na otwarte drzwi od łazienki lub nadeptnięciu na leżące na podwórku grabie przestają działać. Ludzie wiedzieli. Ludzie gadali. I w końcu ściągali kłopoty, jeśli nawet kobieta trzymała buzię na kłódkę, gdyż najwidoczniej minęły już czasy, kiedy ludzie nie wtrącali się w cudze sprawy.

To jednak w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na jego charakter, który był paskudny, naprawdę paskudny, i czasem ponosiło go. Tak jak zeszłej nocy, kiedy podawała mu drugą szklankę herbaty z lodem i wylała trochę na rękę. Buch, i z nosa lało jej się jak z kranu, zanim uświadomił sobie, co robi. Zobaczyła na jego twarzy obrzydzenie, gdy krew spłynęła na jej usta i brodę, a potem dostrzegła lekki niepokój – co będzie, jeśli złamał jej nos? To oznaczałoby następną wycieczkę do szpitala. Przez chwilę myślała, że czeka ją prawdziwe bicie, jedno z tych, po których kuliła się w kącie, dysząc, płacząc i usiłując złapać oddech, by wymiotować. W fartuch. Zawsze w fartuch. W tym domu nie płakało się, nie skarżyło na nic, a już na pewno nie wymiotowało na podłogę, jeśli chciało się zachować głowę.

A jednak zwyciężył jego wysoko rozwinięty instynkt samozachowawczy; przyniósł jej lód zawinięty w ścierkę do naczyń i zaprowadził ją do bawialni, gdzie położyła się na kanapie, przykładając prowizoryczny okład między załzawione oczy. Właśnie tu należy go przyłożyć, powiedział jej, jeżeli chce się szybko powstrzymać krwawienie i zmniejszyć późniejszą opuchliznę. Oczywiście najbardziej niepokoił się o tę opuchliznę. Nazajutrz miała iść na targ, a nie można ukryć spuchniętego nosa za przeciwsłonecznymi okularami, tak jak skrywa się podbite oko.

Poszedł dokończyć kolację: gotowaną rybę z podsmażonymi młodymi ziemniakami.

Opuchlizna nie była wielka, co stwierdziła rano, spoglądając przelotnie w lustro (on już obrzucił ją uważnym spojrzeniem i odprawił kiwnięciem głowy, zanim wypił filiżankę kawy i wyszedł do pracy).

Krwawienie ustało po mniej więcej piętnastu minutach przykładania kompresu... przynajmniej tak sądziła. A jednak w nocy, kiedy spała, jedna zdradziecka kropelka krwi kapnęła jej z nosa i pozostawiła tę plamkę, co oznaczało, że będzie musiała zmienić pościel i ponownie posłać łóżko mimo bolącego krzyża. Ostatnio wciąż bolał ją krzyż; nawet lekki skłon czy podniesienie niewielkiego ciężaru powodowało cierpienie. Plecy były jego ulubionym celem. W przeciwieństwie do tego, co nazywał „biciem po twarzy”, bić po plecach można było bezpiecznie... jeśli ofiara umiała trzymać dziób na kłódkę, oczywiście. Norman zajmował się jej nerkami przez czternaście lat i ślady krwi, jakie coraz częściej widziała w swoim moczu, przestały ją zaskakiwać czy niepokoić. To był jeszcze jeden nieprzyjemny aspekt małżeństwa, nic więcej, i zapewne milionom kobiet było gorzej. Tysiącom – tylko w tym mieście. A przynajmniej tak na to patrzyła do tej pory.

Spoglądała na tę plamkę krwi, czując w głowie jakąś dziwną, pulsującą niechęć i jeszcze coś, jakieś denerwujące mrowienie. Nie wiedziała, że tak się czuje, kiedy się budzi z długiego snu.

Po jej stronie łóżka stał mały wiklinowy bujak, który w myślach zawsze, z przyczyn, jakich nie potrafiłaby wyjaśnić, nazywała Fotelem Puchatka. Teraz cofnęła się do niego, nie odrywając oczu od małej kropki krwi widniejącej na białej poszewce, i usiadła. Siedziała w Fotelu Puchatka przez prawie pięć minut, a potem podskoczyła, kiedy w pokoju rozległ się jakiś głos – z początku nie zorientowała się, że to jej własny głos.

– Jeśli tak dalek pójdzie, on mnie zabije – powiedziała, a gdy przezwyciężyła chwilowe zdumienie, doszła do wniosku, że mówi do kropki krwi, do tej odrobiny, która kapnęła z jej nosa i umarła na pościeli.

Odpowiedź pojawiła się natychmiast: była nieskończenie straszniejsza od tego, co powiedziała głośno:

Chyba że nie zdoła. Czy pomyślałaś o tym? Może nie zdoła.

3

O tym nie pomyślała. Obawa, że któregoś dnia uderzy ją za mocno albo w niewłaściwe miejsce, towarzyszyła jej często (choć

nie wypowiedziała jej głośno, nawet do siebie, aż do dziś), a przecież nigdy nie brała pod uwagę ewentualności, że mogłaby żyć... Mrowienie mięśni i stawów narastało. Zazwyczaj tylko siedziała w Fotelu Puchatka z rękami złożonymi na podolku, patrząc nad łóżkiem i przez drzwi łazienki na swoje odbicie w lustrze, ale tego ranka zaczęła się bujać, kołysząc fotelem w przód i w tył krótkimi, gwałtownymi ruchami. Musiała się kołysać. Mrowienie i klucie w mięśniach zmuszało do kołysania. A ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było oglądanie swojego odbicia – nieważne, że jej nos nie był bardzo spuchnięty.

„Chodź tu, kochanie, chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy”.

Czternaście lat słuchała tego. Sto sześćdziesiąt osiem miesięcy, poczynawszy od szarpnięcia za włosy i ugryzienia w ramię za trzaśnięcie drzwiami w noc poślubną. Jedno poronienie. Uszkodzone płuco. Ta straszna rzecz, jaką zrobił jej rakietą tenisową. Stare blizny na częściach ciała zakrytych ubraniem. Przeważnie ślady ugryzień. Norman uwielbiał gryźć. Z początku próbowała wmawiać sobie, że to miłosne ukąszenia. Aż dziwnie poczuła się na myśl, że kiedyś była taka młoda, ale najwidoczniej była.

„Chodź tu, chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy”.

Nagle rozpoznała to mrowienie, które teraz rozeszło się po całym ciele. To była złość, wściekłość, a zrozumienie tego faktu wywołało zdumienie.

Wynoś się stąd – odezwała się nagle głęboko ukryta część jej świadomości. – Wynoś się stąd natychmiast, w tej chwili. Nie trać czasu nawet na czesanie włosów. Po prostu wyjdź.

– To śmieszne – powiedziała, kołysząc się gwałtowniej niż kiedykolwiek. Plamka krwi na pościeli raziła ją w oczy. Z fotela wyglądała jak kropka pod wykrzyknikiem. – To śmieszne, dokąd miałabym pójść?

Dokądkolwiek, tam gdzie go nie ma – odpowiadał wewnętrzny głos. – Lecz musisz to zrobić zaraz. Zanim...

Zanim co?

To proste. Zanim znów zapadniesz w sen.

Część jej jaźni – przyzwyczajona i zastraszona – pojęła nagle, że ona poważnie rozważa tę myśl, i podniosła krzyk. Opuścić dom, w którym mieszkała od czternastu lat? Dom, w którym wszystkiego

mogła dotknąć? Męża, który – choć porywczy i skory do użycia pięści – zawsze dobrze zarabiał? To śmieszne. Musi o tym zapomnieć, i to natychmiast.

I zrobiłaby to, niemal na pewno zrobiłaby to, gdyby nie plamka krwi na pościeli. Ta jedna, ciemnoczerwona kropka.

Zatem nie patrz na nią! – krzyczała nerwowo ta jej część, która uważała się za praktyczną i rozsądną. – Rany boskie, nie patrz na nią, ona narobi ci kłopotów!

A jednak stwierdziła, że nie może już oderwać oczu od tej kropki. Wbiły się w nią, a bujak kołysał się mocniej niż kiedykolwiek. Jej stopy w białych laczkach stukwały o podłogę w coraz szybszym rytmie (mrowienie objęło teraz przede wszystkim głowę, wywołując zamęt w myślach, pogłębiając wzburzenie). Rozmyślała: Czternaście lat. Czternaście lat rozmów w cztery oczy. Poronienie. Rakietka tenisowa. Trzy zęby, z których jeden połknęłam. Złamane żebro. Uderzenia. Uszczypnięcia. I ugryzienia, oczywiście. Mnóstwo. Mnóstwo tych...

Przestań! Nie ma sensu myśleć w ten sposób, ponieważ nigdzie nie pójdziesz; on dogoniłby cię i sprowadził z powrotem, znalazłby cię, jest policjantem i znajdowanie ludzi jest częścią jego pracy, jedną z rzeczy, jakie dobrze...

– Czternaście lat – mruknęła, ale teraz nie myślała o minionych, lecz o następnych czternastu latach. Tamten głos, płynący z głębi podświadomości, miał rację. Może jej nie zabije. Może nie. Ale czym ona się stanie po kolejnych czternastu latach takich rozmów w cztery oczy? Czy będzie mogła się schylić? Czy choć przez godzinę – a nawet przez kwadrans – jej nerki nie będą jak dwa gorące kamienie wbite w plecy? A może uderzy ją dostatecznie mocno, żeby uszkodzić jakiś nerw, tak że nie będzie mogła ruszyć ręką czy nogą lub jedna połowa jej twarzy pozostanie nieruchoma i pozbawiona wyrazu, jak tej biednej pani Diamond, która sprzedaje w sklepie Numer 24 u podnóża wzgórza?

Wstała nagle tak energicznie, że oparcie Fotela Puchatka uderzyło w ścianę. Stała tak przez chwilę, ciężko dysząc, szeroko otwartymi oczami wciąż patrząc na kasztanową plamę, a potem ruszyła w kierunku drzwi prowadzących do bawialni.

Dokąd idziesz?! – wrzeszczała w jej głowie pani Praktycznie-Rozsądna, ta część jaźni, która zdawała się chętnie godzić z

perspektywą okaleczenia czy zabicia w zamian za wyłączną wiedzę o tym, w której szufladce jest herbata ekspresowa i w której szafce są zmywaki do naczyń. – Dokąd, do cholery, chcesz...

Zamknęła usta temu głosowi – do tej pory nie miała pojęcia, że potrafi to zrobić. Wzięła swoją torebkę ze stolika przy sofie i poszła przez pokój stołowy do frontowych drzwi. Nagle ten pokój wydał jej się bardzo duży, a droga bardzo długa.

Muszę robić tylko jedną rzecz. Jeśli zacznę namyślać się nad każdym krokiem, stracę odwagę.

Prawdę mówiąc, nie sądziła, żeby to był jakiś problem. Przede wszystkim dlatego, że to, co robiła, miało w sobie coś z halucynacji – przecież nie mogła tak po prostu, pod wpływem nagłego impulsu, porzucić domu i małżonka! To musiał być sen, nieprawdaż? I było jeszcze coś: brak namysłu przed każdym kolejnym krokiem, jaki stał się jej zwyczajem od owej nocy poślubnej, kiedy zbił ją jak psa za to, że trzasnęła drzwiami.

No, przecież nie możesz tak wyjść, jeśli nawet miałabyś dojść tylko do następnej przecznicy, zanim stracisz rezon – radziła pani Praktycznie-Rozsądna. – Przynajmniej zdejmij te dżinsy, w których widać, jaki wielki masz tyłek. I przeczesz sobie włosy.

Przystanęła i przez chwilę była bliska poniechania wszystkiego, nim zdążyła dojść do drzwi. Potem pomyślała, że ta rada to rozpaczliwy podstęp mający zatrzymać ją w domu. Sprytnie. Zamiana dżinsów na spódnicę czy przyglądzenie i przeczesanie włosów nie zabrałyby jej wiele czasu, lecz dla kobiety w jej sytuacji z pewnością byłoby to dostatecznie długo.

Na co? Aby znów zapaść w sen, oczywiście. Zanim zasunęłaby zamek spódniczki, już zaczęłaby mieć poważne wątpliwości, a nim skończyłaby się czesać, doszłaby do wniosku, że po prostu na chwilę odebrało jej rozum – przejściowy stan zapewne wywołany miesiączką.

Potem wróciłaby do sypialni i zmieniała pościel.

– Nie – mruknęła. – Nie zrobię tego. Nie zrobię.

Trzymając rękę na klamce, znów przystanęła.

Nabiera rozumu! – zawołała Praktycznie-Rozsądna z mieszaniną ulgi, zadowolenia i – czy to możliwe? – lekkiego rozczarowania. Hura, dziewczyna nabrała rozumu! Lepiej późno niż wcale!

Zadowolenie i ulga w tym głosie zmieniły się w nieme przerażenie,

gdy podeszła szybko do półki nad gazowym kominkiem, który Norman zainstalował przed dwoma laty. Tego, czego szukała, pewnie tam nie będzie – z zasady nie zostawiał tam tego pod koniec miesiąca („żeby mnie nie kusiło” – mówił), ale nie zaszkodzi sprawdzić. A ona знаła jego hasło: numer ich telefonu, z przestawioną pierwszą i ostatnią cyfrą.

Będzie bolało! – wrzasnęła Praktycznie-Rozsądna. – Jeśli weźmiesz coś, co należy do niego, będzie bardzo bolało, wiesz o tym! BARDZO!

– I tak jej tam nie będzie – mruknęła. A jednak była. Jasnozielona karta kredytowa Banku Handlowego z wytłoczonym jego nazwiskiem.

Nie bierz tego! Nie waż się!

Mimo wszystko doszła do wniosku, że może ważyć się na to. Wystarczyło przywołać wspomnienie tej plamki krwi. Poza tym to była także jej karta, to były również jej pieniądze; czy nie wynikało to z przysięgi małżeńskiej?

Tyle że wcale nie chodziło o pieniądze, naprawdę. Chodziło o to, żeby uciszyć panią Praktycznie-Rozsądną, aby ten nagły, nieoczekiwany pęd ku wolności stał się koniecznością, a nie wyborem. W pewnym stopniu zdawała sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, dotrze najwyżej do najbliższej przecznicy, zanim niepewna przyszłość stanie przed nią jak ściana mgły, a wtedy ona odwróci się i pobiegnie z powrotem do domu, szybko zmieni pościel, tak żeby zdążyć do południa umyć podłogi na dole... i chociaż trudno w to uwierzyć, tylko o tym myślała tego ranka, kiedy wstała. O myciu podłóg.

Ignorując jazgotliwy głos w swojej głowie, podniosła z półeczki kartę kredytową, wrzuciła ją do torebki i pośpiesznie znów ruszyła do drzwi.

Nie rób tego! – skowyczał głos pani Praktycznie-Rozsądnej. – Och, Rosie, on za to nie tylko cię zbije, ale pośle do szpitala, może nawet zabije, czyżbyś nie wiedziała?

Zapewne wiedziała, lecz mimo to szła, ze spuszczoną głową i pochylonymi ramionami, jak kobieta idąca pod wiatr. Pewnie zrobiłby to... jednak najpierw musiałby ją złapać.

Tym razem, kiedy jej dłoń zacisnęła się na klamce, nie było chwili wahania. Przekręciła gałkę, otworzyła drzwi i wyszła. Był piękny słoneczny dzień w połowie kwietnia, a gałęzie drzew aż nabrzmiały od pączków. Jej cień układał się na przygiętej, bladej, świeżej trawie

jak sylwetka wycięta z czarnej kalki ostrymi nożyczkami. Stała, głęboko oddychając wiosennym powietrzem, wdychając zapach ziemi odświeżonej (i może pobudzonej do życia) deszczem, który padał w nocy, kiedy ona spała z jednym nozdrzem nad tą zasychającą plamką krwi.

Budzi się cały świat – pomyślała. – Nie tylko ja.

Człowiek w stroju do joggingu biegł chodnikiem, gdy zamykała za sobą drzwi. Pozdrowił ją uniesioną ręką, a ona odpowiedziała mu tym samym. Czekala, aż głos w jej głowie znów podniesie jazgot, lecz ten głos milczał. Może odebrało mu mowę na widok kradzieży karty kredytowej, a może uspokoiło go kojące działanie tego kwietniowego poranka.

– Idę – mruknęła. – Naprawdę, naprawdę odchodzę.

A jednak pozostała w miejscu jeszcze przez chwilę, jak zwierzę, które tak długo trzymano w klatce, że nie może uwierzyć w wolność, jaką mu wreszcie ofiarowano. Sięgnęła za siebie i dotknęła klamki drzwi... drzwi prowadzących do jej klatki.

– Nigdy więcej – szepnęła. Wepchnęła torebkę pod pachę i zrobiła pierwszy tuzin kroków w ścianę mgły, która teraz była jej przyszłością.

4

Ten tuzin kroków zaprowadził ją tam, gdzie betonowy chodnik zbiegał się z poboczem, do miejsca, które przed minutą minął amator joggingu. Zaczęła skręcać w lewo, ale zatrzymała się. Norman powiedział jej kiedyś, że ludzie, którym wydaje się, że przypadkowo wybierają kierunek marszu – na przykład zabłąkani w lesie – niemal zawsze kierują się w stronę wyznaczoną przez dominującą rękę. Zapewne nie miało to znaczenia, jednak odkryła, że nie chce, aby on miał rację choćby co do tego, w którą stronę Westmoreland Street udała się po opuszczeniu domu.

Choćby co do tego.

Skręciła w prawo zamiast w lewo, w kierunku wyznaczonym przez tę głupią rękę, po czym poszła w dół wzgórza. Minęła sklep Numer 24, powściągając chęć podniesienia ręki i zakrycia twarzy dłonią, kiedy przechodziła obok. Już czuła się jak zbieg i okropna myśl zaczęła

drażyć jej umysł, podobnie jak szczur gryzie ser: a jeśli on będzie wracał wcześniej z pracy i spotka ją? Co będzie, jeśli zobaczy ją idącą ulicą w dżinsach i laczkach, z torebką pod pachą i rozczochranymi włosami? Zdziwiłby się myśląc: co, do diabła, ona robi tu tak rano, kiedy powinna myć podłogi na dole, prawda? I chciałby, żeby do niego podeszła, prawda? Tak. Chiałby, żeby podeszła do niego, tak żeby mógł z nią porozmawiać w cztery oczy.

To głupota. Jaki miałby powód, żeby teraz wracać do domu? Wyszedł zaledwie przed godziną. To bez sensu.

Owszem... Ludzie czasem robili jednak różne bezsensowne rzeczy. Na przykład ona – spójrzcie tylko, co ona teraz robi. A jeśli on będzie miał jakieś przeczucie? Ile razy mówił jej, że u gliniarzy po pewnym czasie rozwija się szósty zmysł, tak że wiedzą, kiedy zdarzy się coś dziwnego? „Czuje się takie lekkie klucie u nasady karku – powiedział jej kiedyś. – Nie potrafię tego opisać. Wiem, że większość ludzi uśmiełaby się z tego, ale spytaj gliniarza, on nie będzie się śmiał. To lekkie ukłucie kilka razy uratowało mi życie, kochanie”.

A jeśli czuł to klucie przez ostatnie dwadzieścia minut lub coś koło tego? A jeżeli wszedł do samochodu i pojechał do domu? Jechałby właśnie tędy; przeklęła się w duchu za to, że opuszczając dom, skręciła w prawo zamiast w lewo. Wtedy wpadła jej do głowy jeszcze mniej przyjemna myśl, odrażająco prawdopodobna... nie wspominając o ironii losu mogącego stworzyć taką sytuację. A jeśli on w drodze do komisariatu zatrzymał się przy bankomacie dwie przecznice dalej, potrzebując dziesięciu lub dwudziestu dolców na obiad? I jeśli postanowił, przekonawszy się, że karty nie ma w portfelu, wrócić po nią do domu?

Weź się w garść. Nic takiego się nie zdarzy. Niczego takiego nie będzie.

Kawałek dalej jakiś samochód skręcił w Westmoreland Street. Był czerwony, co za zbieg okoliczności, przecież oni mają czerwony samochód... a raczej on go ma; auto nie należało do niej, tak samo jak karta kredytowa czy pieniądze, które mogła na nią pobrać. Ich czerwony samochód to nowa sentra i – kolejny zbieg okoliczności! – czy nadjeżdżający wóz to nie czerwona sentra?

Nie, to honda!

Tylko że to nie była honda, w co ona bardzo chciała uwierzyć. To

była sentra, zupełnie nowa, czerwona sentra. Jego czerwona sentra. Najgorszy koszmar urzeczywistnił się niemal w tej samej chwili, gdy o nim pomyślała.

Przez chwilę jej nerki stały się niewiarygodnie ciężkie, niewiarygodnie obolałe, niewiarygodnie pełne, tak że była przekonana, że zaraz zmoczy spodnie. Czy naprawdę sądziła, że zdoła przed nim uciec? Chyba zwariowała.

Teraz za późno, żeby przejmować się tym – powiedziała Praktycznie-Rozsądna. Przestała już histeryzować; teraz była jedyną częścią jej umysłu potrafiącą myśleć i przemawiała tym zimnym, rozważnym tonem stworzenia stawiającego na pierwszym miejscu przetrwanie. – Lepiej wymyśl coś, co mu powiesz, kiedy zatrzyma się obok i zapyta cię, co tu robisz. I niech to będzie dobra wymówka. Wiesz, jaki jest bystry i spostrzegawczy.

– Kwiaty – mruknęła. – Wysłam na spacer zobaczyć, u kogo już zakwitły kwiaty, to wszystko.

Stała, zaciskając uda, usiłując powstrzymać parcie. Czy on w to uwierzy? Nie wiedziała, ale musiała spróbować. Nie potrafiła wymyślić nic innego.

– Zamierzałam dojść do rogu St. Mark's Avenue, a potem wrócić i umyć...

Urwała, patrząc szeroko otwartymi, pełnymi niedowierzania oczami na samochód – jednak honda, wcale nie nowa i bardziej pomarańczowa niż czerwona – powoli przejechał obok. Kobieta za kierownicą rzuciła jej zaciekawione spojrzenie, a kobieta na krawężniku pomyślała: Gdyby to był on, nie pomogłaby żadna wymówka, choćby nie wiem jak wiarygodna, wyczytałby prawdę z twojej twarzy, widoczną jak światło neonu. Czy teraz już wrócisz? Pójdiesz po rozum do głowy i wrócisz?

Nie. Gwałtowna potrzeba oddania moczu minęła, lecz pęcherz miała ciężki i przepełniony, nerki pulsujące, nogi drżące, a serce tak mocno tłukło się jej w piersi, że aż ją to przerażało. Nigdy nie zdołałaby wejść z powrotem na wzgórze, chociaż droga wznosiła się pod niewielkim kątem.

Zdołasz. Wiesz, że możesz. Robiłaś trudniejsze rzeczy w czasie tych lat małżeństwa i przeżyłaś je.

No dobrze, może zdołałaby wspiąć się na wzgórze, ale teraz

przyszła jej do głowy nowa myśl. On czasem telefonował. Zwykle pięć czy sześć razy w miesiącu, ale czasem częściej. Tylko cześć, jak leci, czy mam przynieść do domu karton half-n-half albo ćwiartkę śmietany, dobra, cześć. Tyle że w tych telefonach nie wyczuwała żadnej troskliwości, żadnej czułości. Sprawdzał ją, to wszystko, a jeśli nie podnosiła słuchawki, telefon dzwonił. Nie mieli automatycznej sekretarki. Kiedyś zapytała go, czy nie powinni sobie jej sprawić. Szturchnął ją nie całkiem nieprzyjaźnie i powiedział, żeby zmądrzała. „Ty jesteś automatyczną sekretarką” – oznajmił.

A co, jeśli zatelefonował, a jej nie było w domu?

Pomyśli, że wcześniej poszłam na targ, to wszystko.

Nie, nie pomyśli. O to chodzi. Podłogi z rana, targ po południu. Tak było do tej pory i oczekiwał, że zawsze tak będzie. Spontaniczność nie była mile widziana na Westmoreland pod numerem 908. Jeżeli telefonował...

Znów zaczęła iść, wiedząc, że na następnym rogu powinna zejść z Westmoreland Street, chociaż nie była wcale pewna, dokąd prowadzi Tremont Street. Lecz w tym momencie nie było to istotne; liczyło się tylko to, że teraz znajdowała się na trasie, którą wracał z miasta, zazwyczaj jadąc drogą I-295, więc czuła się tak, jakby znalazła się na środku tarczy strzelniczej.

Skręciła w lewo, w Tremont, i minęła spacerem kolejne, ciche podmiejskie domki oddzielone od siebie niskimi żywopłotami lub szpalerami ozdobnych drzewek – najwidoczniej szczególnie modne były tu oleandry. Mężczyzna podobny do Woody Allena, w okularach o grubych oprawkach, z piegami i w bezkształtnym kapeluszu wciśniętym na czubek głowy, oderwał wzrok od podlewanych kwiatków i pomachał jej ręką. Wyglądało na to, że dziś wszyscy chcą być dobrymi sąsiadami. Podejrzewała, że to przez pogodę, ale wolałaby obejść się bez tego. Zbyt łatwo mogła sobie wyobrazić, jak on idzie później jej śladem, cierpliwie tropiąc, zadając pytania, używając swoich pobudzających pamięć sztuczek i pokazując każdemu jej fotografię.

Pomachaj do niego. Nie chcesz, żeby zapamiętał cię jako nieuprzejmą; nieuprzejmy łatwo utkwi w pamięci, więc pomachaj mu i idź swoją drogą.

Odpowiedziała machnięciem i poszła swoją drogą. Potrzeba

oddania moczu powróciła, ale jakoś będzie musiała ją opanować. Nigdzie nie było widać przybytku – nic tylko kolejne domy, kolejne żywopłoty, kolejne bladezielone trawniki, kolejne oleandry.

Za plecami usłyszała samochód i była pewna, że to on. Odwróciła się i ujrzała rdzawego chevroleta wlokącego się środkiem jezdni z szybkością niewiele większą od idącego mężczyzny. Stary człowiek za kółkiem miał słomkowy kapelusz na głowie i zdeterminowane spojrzenie. Odwróciła twarz, zanim zdążył dostrzec jej strach, potknęła się i zdecydowanym krokiem poszła dalej, ze spuszczoną głową. Ćmiący ból w nerkach wrócił i w pęcherzu również czuła pulsowanie. Oceniała, że wytrzyma jeszcze minutę, najwyżej dwie. Jeśli do tego dojdzie, może pożegnać się z jakimikolwiek szansami na niezauważone zniknięcie. Ludzie mogą nie pamiętać bladej mieszcarki idącej chodnikiem w piękny wiosenny ranek, ale nie wyobrażała sobie, jak mogliby nie zapamiętać bladej mieszcarki z ciemną, powiększającą się plamą w kroku dżinsów. Musiała jakoś rozwiązać ten problem, i to zaraz.

Dwa domy dalej, po tej samej stronie ulicy, stał bungalow czekoladowej barwy. Okienne były zamknięte; na ganku wałyły się trzy gazety. Czwarta leżała na chodniku u stóp frontowych schodów. Rosie szybko rozejrzała się wokół, stwierdziła, że nikt jej nie obserwuje, więc pośpiesznie przeszła przez trawnik przed domkiem i wzdłuż bocznej ściany. Podwórko na tyłach było puste. Na gałce aluminiowych, opuszczanych drzwi wisiał ośmiokąt papieru. Podeszła bliżej, drobnymi kroczkami, po czym przeczytała wydrukowaną wiadomość: *Pozdrowienia od Ann Cosso, waszej miejscowej przedstawicielki Avonu! Tym razem nie zastałam was w domu, ale przyjdę znowu! Dzięki! I zadzwońcie do mnie pod 555-1731, jeśli chcecie porozmawiać o wspaniałych wyrobach Avonu!* Pod spodem widniała nagryzmołona data 17 kwietnia – dwa dni temu.

Rosie ponownie rozejrzała się wokół, zobaczyła, że z jednej strony osłaniają ją żywopłoty, a z drugiej oleandry, więc rozpięła guzik oraz zamek swoich dżinsów i przykucnęła w niszy między tarasem a zbiornikiem paliwa. Za późno było martwić się tym, że ktoś może patrzeć z górnych pięter sąsiednich budynków. A ponadto potrzeba czyniła te problemy – przynajmniej w tym momencie – zupełnie trywialnymi.

Jesteś stuknięta, wiesz.

Tak, oczywiście, wiedziała... Gdy jednak ucisk w pęcherzu osłabł i strumyk moczu popłynął zygzakowatą strużką między ceglami patio, poczuła, że jej serce wypełnia nagle szalona radość. W tym momencie wiedziała, jak to jest, kiedy pokonuje się rzekę w obcym kraju, a potem pali za sobą most i stoi na brzegu, ciężko dysząc i patrząc na jedyną szansę odwrotu idącą z dymem.

5

Szła przez prawie dwie godziny, mijając nieznaną okolicę, zanim dotarła do krótkiej promenady, która – jak przypuszczała – leżała w zachodniej części miasta. Przed sklepem z farbami i wykładzinami była budka telefoniczna i kiedy skorzystała z niej, żeby wezwać taksówkę, ze zdumieniem odkryła, że już wcale nie znajduje się w mieście, lecz na przedmieściu Mapleton. Na obu piętach miała spore odciski, czemu pewnie nie powinna się dziwić – chyba przeszła dobre jedenaście kilometrów.

Taksówka przyjechała po piętnastu minutach; do tej pory Rosie zdążyła wpaść do sklepiku na końcu pasażu, gdzie kupiła tanie okulary przeciwsłoneczne i kolorową szyfonową apaszkę. Przypomniała sobie, jak pewnego razu Norman mówił, że jeśli chce się odwrócić uwagę od swojej twarzy, najlepiej włożyć coś jaskrawego, co będzie przyciągało wzrok.

Taksówkarz był grubym facetem. Miał przetłuszczone włosy, nabiegłe krwią oczy i nieświeży oddech. Na workowatym, spłowiałym podkoszulku widoczna była mapa Wietnamu Południowego. KIEDY UMŘĘ, PÓJDĘ DO NIEBA, PONIEWAŻ BYŁEM W PIEKLE – głosił napis pod mapą. – ŻELAZNY TRÓJKĄT, 1969. Paciorkowate czerwone oczka zmierzyły ją szybkim spojrzeniem, od warg przez piersi po biodra, zanim najwidoczniej stracił zainteresowanie.

- Dokąd jedziemy, moja droga? – zapytał.
- Czy może pan zawieźć mnie na przystanek Greyhoundu?
- Do Portside?
- Czy to dworzec autobusowy?
- Taa. – Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie w lusterku

wstecznym. – Na drugim końcu miasta. Kurs za dwadzieścia dolców, jak nic. Stać panią na tyle?

– Oczywiście – powiedziała, po czym odetchnęła głęboko i dodała: – Jak pan sądzi, czy zdoła pan znaleźć po drodze bankomat Banku Handlowego?

– Żeby wszystko w życiu było takie łatwe – oznajmił i złamał chorągiewkę taksometru. Dwa dolary pięćdziesiąt – odczytała. – OPLATA STAŁA.

Moment, w którym cyfry w taksometrze z cichym szelestem zmieniły się z dwóch pięćdziesiąt na dwa siedemdziesiąt pięć, a słowa OPLATA STAŁA zniknęły, uznała za początek jej nowego życia. Już nie będzie nazywała się Rose Daniels, chyba że coś ją do tego zmusi. I nie dlatego, że Daniels było jego nazwiskiem, lecz dlatego, że postanowiła go porzucić. Znów będzie Rosie McClendon, dziewczyną, którą w wieku osiemnastu lat pochłonęło piekło. Przypuszczała, że czasami będzie zmuszona posłużyć się nazwiskiem męża, lecz nawet wtedy w sercu i duszy pozostanie Rosie McClendon.

Naprawdę jestem Rosie – myślała, gdy taksówkarz jechał po Trunkatawny Bridge i uśmiechnęła się, kiedy słowa Maurice’a Sendaka i głos Carole King przemknęły jej przez głowę jak para duchów. „Jestem Rosie Real”.

Czy naprawdę? Czy była prawdziwa?

Teraz dopiero się dowiem – myślała. – Dopiero teraz.

6

Taksówkarz zatrzymał wóz na Iroquois Square i wskazał na rząd automatów stojących na placyku ozdobionym fontanną i chromowaną rzeźbą nie przedstawiającą niczego konkretnego.

Automat na końcu, po lewej, był jasnozielony.

– Może być? – spytał taksówkarz.

– Tak, dzięki. Za minutkę wracam.

Zajęło jej to trochę więcej czasu. Najpierw nie umiała wystukać właściwego numeru kodu na dużej klawiaturze urządzenia, a kiedy wreszcie uporała się z tą czynnością, nie potrafiła zdecydować, ile ma podjąć. Nacisnęła siedem-pięć-przecinek-zero-zero, zawahała się,

z palcem nad przyciskiem TRANSAKCJA, po czym cofnęła rękę. Jeżeli ją złapie, pobije za to, że uciekła, nie ma co do tego wątpliwości. Jeśli jednak pobije ją tak ciężko, że konieczny będzie szpital (albo zabije – mamrotał cichy głosik – on naprawdę może cię zabić, Rosie, i jesteś głupia, jeżeli o tym zapominasz), to dlatego, że ośmieliła się ukraść jego kartę kredytową... i skorzystać z niej. Czy miała ryzykować za marne siedemdziesiąt pięć dolarów? Czy to wystarczy?

– Nie – mruknęła i ponownie wyciągnęła rękę. Tym razem wystukała trzy-pięć-zero-przecinek-zero-zero... a potem znów zawahała się. Nie wiedziała dokładnie ile tego, co nazywał gotówką, znajdowało się na koncie, do którego podłączał się bankomat, ale trzysta pięćdziesiąt dolarów musiało stanowić całkiem sporą część tych zasobów. Będzie tak zły...

Sięgnęła ręką do przycisku KASUJ/POWTÓRZ i ponownie zadała sobie pytanie, co to za różnica. On i tak będzie zły. Już nie ma dla niej odwrotu.

– Czy to jeszcze długo potrwa, proszę pani? – usłyszała głos za plecami. – Bo już kończy mi się przerwa na kawę.

– Och, przepraszam! – powiedziała, lekko drgnąwszy ze strachu. – Nie, ja tylko... zbierałam myśli.

Wcisnęła przycisk TRANSAKCJA. Na wyświetlaczu pojawiły się słowa PROSZĘ CZEKAĆ. Chwila oczekiwania nie trwała długo, ale Rosie zdążyła wyobrazić sobie przerażającą scenę, w której maszyna wydaje nagle przenikliwy sygnał ostrzegawczy, a mechaniczny głos ryczy: TA KOBIETA TO ZŁODZIEJKA! ZATRZYMAĆ JĄ! TA KOBIETA TO ZŁODZIEJKA!

Zamiast nazwać ją złodziejką, automat wyświetlił „dziękuję”, życzył jej miłego dnia i wypuścił siedemnaście dwudziestek oraz jedną dziesiątkę. Rosie obdarzyła stojącego za nią młodego człowieka nerwowym uśmiechem, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, po czym pośpieszyła do taksówki.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).